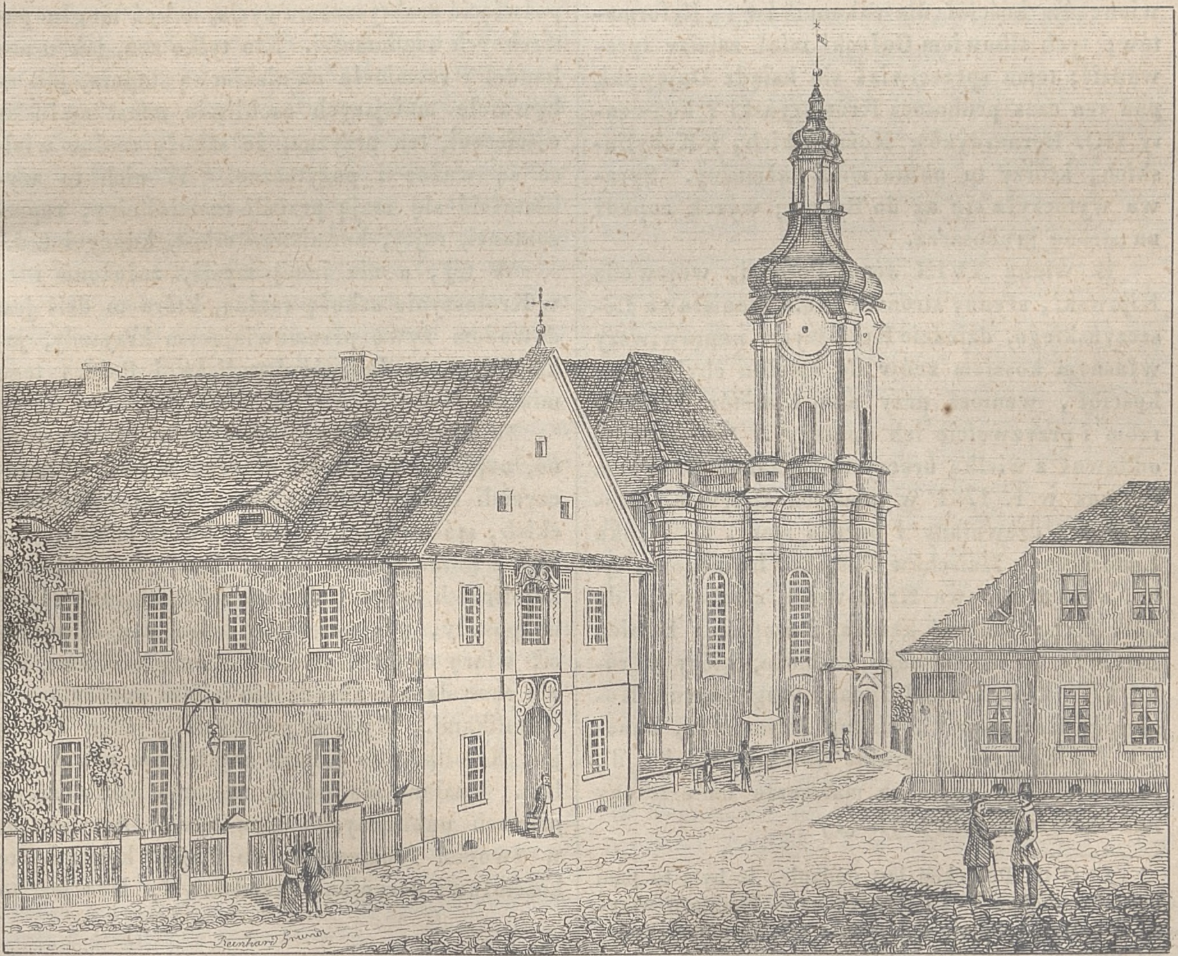
Nr. 34. Rok 15.

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 19. Sierpnia 1848.

Kościół potrynitarski i szkoła realna w Krotoszynie. — Kazimierz Małachowski (dokończenie). — Wiersze: (Ułamek) (dokończenie). — Wycieczka nad Wartę (ciąg dalszy).



Kościół i klasztór potrynitarski w Krotoszynie.

Kościół potrynitarski i szkoła realna w Krotoszynie.

Już w wieku 15. stał na tém miejscu, gdzie dziś klasztór potrynitarski, kościół parafialny, pod tytułem: ŚŚ. Piotra i Pawła, założony i fundowany przez Marcina Wierzbiętę, który zapis uczynił sześć marków śrebra na utrzymanie plebana, tych jednakże, jak się pokazuje z księgi beneficyów kościelnych, spisanéj 1521 roku z polecenia Jana de Lasko, arcybiskupa Gnieźnieńskiego, nigdy rządcy kościoła tego nie odbierali. Były i budynki dla plebana, wikaryusza i sług kościelnych, a w 18. wieku jeszcze i dla Altarzystów, które dopiero w nowszych czasach rozebrano. W roku 1690 kościół ten zupełnie zrujnowany, ówczesny dziedzic Gałecki, za poradą burmistrza Jana Dobrowolskiego, zrestaurował z podatku szelężnego, który miasto opłacało. Urządzono zaraz odnowiony ów kościół dla zakonników — Reformatów; tych albowiem Gałecki miał zamiar sprowadzić; temu sprzeciwiał się ksiądz Dajewski, pod ten czas proboszcz Krotoszyński i konwenty OO. Bernardynów Koźmińskich, i Kobylinskich, którzy tu obfite mieli jałmużny. Sprawa wytoczyła się aż do Rzymu; wyrok zapadł na stronę proboszcza.

W wieku XVIII Józef Potocki, wojewoda Kijowski, słynny stronnik króla Stanisława Leszczyńskiego, dziedzic Krotoszyna, naprawiwszy własnym kosztem znów do upadku chylący się kościół, wzniósł przy nim klasztór Trynitarzom i przyzwoicie ich uposażył. Świątynię tę oddawał z wielką uroczystością zakonnikom sam Prymas w r. 1731 w miesiącu Czerwcu. Kościół ten drewniany i bardzo stary, 1767 roku Ludowika z Mnischów Potocka, hetmanowa w. k., a kasztelanowa Krakowska, zjechawszy do dóbr tych, rozebrać kazała, i węgielny kamień założyła do dzisiejszego kościoła, który w roku 1775 konsekrował Ignacy Aug. Saryusz Kozierogi Kozierowski, biskup Adrateński, kanonik i wikaryusz generalny Gnieźnieński i t. d., jako świadczy napis na marmurze umieszczony nad drzwiami zakrystyi. (1)

Piękna wieża, wznosząca się ku niebu, zajmuje ciekawego widza, a wnętrze kościoła dość miłe czyni wrażenie. Nie masz tu arcydzieł sztuki, a obrazy w wszystkich ółtarzach miernego są pędzla. Posiadał klasztór znaczną bibliotekę; i dziś jeszcze kilkaset książek zalega półki; między którémi najważniejsze są: Synody prowincyonalne; Żywoty biskupów Włocławskich Damalewicza; Peregrynacya Radziwiłła do ziemi świętéj. Prócz tego są tu i dzieła Ojców kościoła, lecz niekompletne. Antyfonarze pergaminowe z pięknie malowanémi ozdobami. Był czas, kiedy ważne do historyi znajdowały się dzieła, lecz przy zniesieniu klasztoru, wszystkie wybrano i wywieziono.

Po zniesieniu Trynitarzy majątek i folwark Zmysłowo zabrano na rzecz skarbu; w klasztorze, który przeistoczono, założono szkołę najprzód powiatową, a tę przemieniono przed lat parę na realną, w któréjby młodzież, chcąca się poświęcić praktycznemu życiu, nabyć mogła potrzebnych wiadomości. Kto tylko zna, jak u nas handel i rzemiosła na niskim są stopniu, jak obywatele mniejszych osobliwie miast mało są oświeceni, ten przyzna, że szkoły realne wielce są ważne i pożyteczne. W nich to wykształcić się mają przyśli rzemieślnicy, reprezentanci, rajcy, burmistrze miast, kupcy i t. d.

W téj, a nie innéj myśli, założono i tu w Krotoszynie szkołę realną, która to dziś jest dowodem żywo przemawiającym krzywdy, jakiéj doznała ludność katolicka i Polska tego miasta.

W akcie założenia téj szkoły, przyrzeczono, napisano czarno na białém, iż połowa nauczycieli będzie katolickich, a druga ewangielickich, stósownie więc do ludności miasta. Jakoż z początku tak było, lecz gdy z czasem katolickich nauczycieli przetranslokowano na inne posady, gdy nareszcie jeden z nich porzucił wiarę ojców i stał się Ewangielikiem; już nie pomyślano o obsadzeniu miejsc opróżnionych Katolikami. Z piąciu nauczycieli, jeden dzisiaj jest Katolik, i to jeszcze najniższym nauczycielem. Użalano się na tę niesprawiedliwość po pismach publicznych; sam nawet Arcypasterz w swojém Promemoria do Króla krzywdę tę kościołowi uczynioną przedstawił, lecz jest to

---

(1) O téj Potockiéj jest podanie, iż była to pani bardzo nabożna — i dobroczynna — klasztoru wszystkie potrzeby hojnie opatrywała tak, iż nieprzeliczone ubóstwo przytułek, pożywienie i odzież w nim miało. Ochędostwa domu Bożego wielce przestrzegając, co Środę z pannami kościół w pokorze umiatała. *Red.*

głos wołającego na puszczy —! i będzie zapewne tak długo, dopóki wszyscy obywatele, mieszkańcy katoliccy, Polacy, którzy połowę zamieszkują miasta, nie odezwą się na drodze prawnéj o należytości swoje. Szkoła ta wszakże żadnéj nie przynosi korzyści Katolikom, Polakom; wiedzą o tém i mieszkańcy, lecz brak odwagi cywilnéj i jakaś nieśmiałość, nie powiem oziębłość, wiąże im ręce, i niedozwala odezwać się. Jeżeli kiedy, to dziś czas wielki upomnieć się o sprawiedliwość i słuszność, o prawa swoje, — jeżeli kiedy, to dziś, po tylu gwarancyach narodowości naszéj; po obietnicy królewskiéj, uchwaleniu ojców Frankfurtskich, po przywróceniu i nadaniu mocy (?) traktatowi Wiedeńskiemu, śmiało wystąpić trzeba, i pukać, i domagać się, aby koniecznie, nauczyciel religii był ustanowiony (2), aby połowę nauczycieli było Katolików, a nawet Polaków; aby rektor przynajmniéj na przemian, kiedy nie inaczéj, był Katolik; aby język Polski stał się językiem wykładu i nauczania. Dziś jest czas, aby szkołę tę, z katolickich tylko funduszów utworzoną, w katolickim gmachu ulokowaną, przywrócić do stanu i pierwotnego przeznaczenia. A jeżeli się to stanie, natenczas błogosławieństwo i korzyść stanie się dla miasta, i zapełnią się próżne ławy uczniami. Wprawdzie mało uczęszcza uczniów Katolików, Polaków; i tu obojętność ze strony katolickiéj-polskiéj czuć się daje przepatrującemu wszystko pilnie badaczowi; lecz może to i zapewnie nieufność w zakładzie, obsadzonym zupełnie nauczycielami innego wyznania i rodu, jest tego przyczyną...

(2) Do roku 1847 był nauczycielem jedynie katolickim ksiądz, który oprócz łaciny, polsk. języka i religijnych godzin udzielał. Po jego odejściu ogłosiła kommissya szkólna miejsce to wakującém, i wzywała, aby się zgosili kandydaci, którzyby i religii uczyć mogli. Ustanowić osobnego nauczyciela religii, księdza, bynajmniéj nie myślano, dla braku funduszów (?), bo dla katolickich nauczycieli o fundusze trudno, osobliwie przy zakładach, gdzie są inne zamiary i myśli. Z trzech członków katolickich, wchodzących w skład kom. szkól., jeden tylko dziekan Wysocki na sessyach 25. Lipca i 1. Sierpnia protestował przeciw nauczaniu religii przez cywilnego nauczyciela, i przedstawił rzecz całą z protestacyą konsystorzowi.

Przyp. Red.

Kiedyż będzie inaczéj? daj Boże! by było jak najprędzéj.

Nawiasowo jeszcze wspomnę o szkole dziewcząt, w klasztorze istniejącéj. Jak realną, tak i tę szkołę założono zapewne dla obudwóch narodowości, i tu polskość ukrzywdzono; uczą tu wszystkiego, tylko nie religii (3), nie języka polskiego, i tu jak w szkole realnéj mało Polek. Tak więc są szkoły w Krotoszynie, ale nie dla Polaków, są szkoły dla obcych z ciężkiéj pracy ojców naszych, dla ludzi, którzy dawniéj gościnnie przyjęci, a późniéj losem, nie mocą oręża, stawszy się panami téj ziemi, zaprowadzili wszędzie swój język, narzucając go wszystkim bez wyjątku. Nie dziw więc, że za tém poszło, iż mieszczanie odstręczyli się od szkół takich, choć z własną i swych potomków szkodą.

Kazimierz Małachowski.

(Dokończenie.)

Nadszedł pamiętny rok 1812, tak groźny dla Moskwy. Wojownik nasz zapragnął zwiedzić te miejsca, w których od dwóch już wieków mężna Polski nie zagościła stopa, a wojnę tę Europa i historya Polską nazwały. Na czele zawsze swego pierwszego pułku, a późniéj brygady, pod dowództwem Dąbrowskiego odbywa tę całą kampanią, odznaczając się pod Smoleńskiem, przy oblężeniu Bobrujska i t. d. A w odwrocie zasłaniając tragiczną Berezyńską przeprawę, broni się w szańcu przedmostowym jakby przymarzły do ziemi, przez jedenaście godzin, przeciw przeważającym i świeżym nieprzyjaciela siłom. Tak ocalając reszty wielkiéj armii, z pułku swego i całéj dywizyi małą liczbę uprowadza, dość na świadków swojéj chwały i męztwa, i jako straż honorową przy polskich orłach, które w ręce księcia Józefa w Warszawie składa. Stopień generalski był jedyną tylu czynów nagrodą; błaha, bo żadna dla duszy takiéj pociecha, upominek żałobny po tylu wielkich utraconych nadziejach. W Warszawie ma sobie powierzone urządzenie artyleryi Polskiéj, i w krótkim bardzo czasie

(3) Pięć katol.-polskich panienek jest w szkole téj i te uczęszczają na lekcye religii dwa razy w tydzień do szkółki elementarnéj.

Red.

czyni ją zdolną do boju. Z trudów jednak i nędz ostatniéj wyprawy, dotknięty zostaje grassującą zarazą. Prośbą i groźbą wymaga na lekarzach, aby nie zważając na następstwa, użyli gwałtownych środków, coby go stawiły w możności podzielania dalszych walk i trudów narodowych. Użyto ich, i w skutku nabył niewygodnego kaszlu, który go aż do śmierci nie opuścił. Nie dosyć na tym czynie, wyższym nad wszelkie pochwały. Współcześnie zaraza dotyka małżonkę; pomimo czułości wyższéj nad zwykłą, zostawia ją na łożu śmiertelném pod opieką przyjaciół, oświadczając, iż musi iść za wyższym obowiązkiem i opuszcza stolicę (d. 2. Lipca 1813 r.). W Krakowie składa na wyższe żądanie dowództwo artyleryi, i na czele brygady pieszéj walczy kilkakrotnie w Saxonii i w dwóch bitwach pod Lipskiem. W drugiéj, która ostatecznie ważyła losami Europy, zostawiony jak zwykle do zasłaniania odwrotu, znajduje mosty na Elsterze już popalone i do Rossyjskiéj dostaje się niewoli. Cudem prawie zachowany od śmierci, ale obdarty ze wszystkiego, poniewierany, z prostém żołnierstwem, w dusznym lochu zamknięty, zgłodzony, po upadku Napoleona, wraca nareszcie do rodzinnéj ziemi. Po 30-letniéj ciągłéj wojennéj służbie, przeżywszy już pół wieku, chciał spocząć w domowéj zagrodzie, i za przykładem Rzymskiego dyktatora, złamany w boleści oręż przekuć na lemiesz. W téj myśli odmawia brygady w nowo tworzącéj się armii. Ale w roku następnym, na rozkaz absolutny W. Xięcia, musiał zostać dowódzcą Modlińskiéj warowni. Po trzech latach uwolniony od służby, na ciągłe prośby, aż do Cesarza zasłane (1818 r.), uszkodzony na szczupłym wysłużonym chlebie, odmawia składając się nieudolnością pierwszego cywilnego urzędu w województwie Lubelskiém (1821) i ostatecznie osiada na małéj posażnéj wioszczynie. W tym zakątku pragnął być zapomnianym, gdyby wdzięczność i współuwielbienia obywateli, dla których był wzorem, i choć niemém, ale dziwnie wymownėm kazaniem cnót domowych i obywatelskich, mogły były na to zezwolić. Chciałby był zapomnieć wszystkiego, wyjąwszy czego nie mógł i chcieć nie było wolno: pomyślności kraju.

Z rokiem 1830 zaczyna się trzeci okres życia generała Małachowskiego. Im bardziéj się zbliżamy do lat ostatnich, tém trudniejszy, pojmujecie łatwo, pochód. — Z 29tym Listopada, zaświeciła tyle obiecująca nadzieja ostatecznego i niechybnego odwetu. Siedmdziesiątletni blisko nasz starzec w chwili odmłodniał, w chwili stanął we Warszawie, dopraszając się nie o zaszczyty, nie o stopnie, jak mówił (on nawykły i niżéj zstępować, by tylko służyć), ale o postawienie siebie na linii bojowéj, dla czynienia ostatkami sił swoich o świętoście i prawa ojczyste. Niezrażony przyjęciem i odwłokami, krzykiem patryotycznego serca uwalnia się od chwilowego dowództwa Modlina, i na czas przybywa dla walczenia w pierwszéj linii na czele swéj brygady pod Grochowem d. 19., 20. Lutego. W dniach 24. i 25. (1831.) t. m. wytrzymuje z niewielu batalionami pod Białołęką parcie kilkakroć silniejszego, wyborowego korpusu Szachowskiego, i nie jego wina, jeżeli na tém miejscu stanowczych i przeważnych nie odniósł korzyści. Sprawiedliwsza potomność i historya na naszego Małachowskiego przeniosą nazwę i zaszczyt bohatéra Białołęki.

Po bitwie Grochowskiéj, i cofnięciu się armii do Warszawy, Małachowski zostawiony z brygadą w szańcu przedmostowym Pragi; pierwszy zawsze w natarciu, ostatni w odwrocie. Ale nazajutrz, młody dawniéj żołnierz i oficer naszego generała, dzisiaj wódz naczelny, powierza pułkownikowi niegdy swemu dowództwo trzeciéj odwodowéj dywizyi piechoty, który odtąd prawie bez przerwy zostawał przy jego boku. Jeżeli słusznie można pochwalić sprawiedliwą wdzięczność w naczelniku, niemniéj godne uwielbienia posłuszeństwo naszego weterana. Iluż to, w najlepszéj wierze zowiących się patryotami, usunęło się od służby w przeważnych nieraz chwilach, aby nie podlegać młodszym, dawniéj od siebie lub dziś nie miłym? Małachowski był podległy stale, był podległy szczerze i zupełnie, był podległy prawie jak dziecko. Kochamy ojczyznę silnie i wytrwale, to najpewniejsza; ale i to pewna, że niemniéj potężnie nas samych, nasze zdania i uczucia kochamy, a posłuszeństwo wszelkie za małoduszność, za podłość dzierżymy. Pierwsze poruszenie jednak w chwilach ważnych, w chwilach podniesienia, są zwykle dobre, piękne, szlachetne; ale czy takie wytrwanie? Nie jeden dobrze zaczął, ale dla błahéj obrazy miłości własnéj ostygł na duchu, i innych potém w około siebie ziębił. Oby tak piękne przy-

kłady naszego nieboszczyka, nie zostały na przyszłość bez owocu! W szczęśliwéj wielkotygodniowéj wyprawie (3. Marca 1831 r.) pod Dębem, Małachowski na czele swéj dywizyi najwięcéj użyty, najdzielniéj czynił, i z młodzieńczym zapałem wytrzymał po razy kilka na ostrzu szabli natarczywe, rozpaczne napady nieprzyjacielskiéj jazdy. Nikt go w rzeźwości i ochocie nie przeszedł, w szybkim pochodzie na gwardyą. W żałobnéj Ostrołęckiéj rzeźi, pomimo wszystkiego jeszcze wielkiéj jak zwycięztwo, weteran nasz walczył z zapalczywą a chłodną odwagą, czerpiąc jak Machabeusz w samém oburzeniu nowe siły i męztwo, wciąż nowe, którebym więcéj chwalił, gdyby w naszym rycerzu i w naszym narodzie mniéj było powszechne, i mniéj powszechnie na świecie uznane.

Zostawmy znowu na chwile chlubne czyny zewnętrzne, a zajrzyjmy w piękne serce Małachowskiego. Pominę, że na wezwanie skarbu narodowego, ostatnie srebro stołowe odesłał do mennicy, żałując tylko tą razą, że więcéj go nie miał; zapatrujmy się, jeżeli nie na piękniejsze, na większe pewno i rzadsze cnoty. Nie przyjmuje ofiarowanego sobie naczelnego dowództwa, składając się wiekiem i niezdolnością, wołając ze łzami prawie: „O nieszczęśliwa ojczyzno! jakież twe musi być położenie, kiedy na mnie oczy zwrócono.“ Po nocy zaś 15. Sierpnia przyjmuję ograniczone porucznikowstwo naczelnego wodza, a na pytanie dziwiących się, odpowiada te godne siebie słowa: „Póki miałem nadzieję, że kto inny z tylu zdol-„niejszych odemnie podejmie się ciężaru nad „siły moje, nie chciałem i nie mógłem się go „podejmować. Ale dziś, kiedy widzę sprawę „publiczną w niebezpieczeństwie, dla uniknienia „nieporozumień, śmiertelnych w podobnych ra-„zach, usuwam na stronę wszystkie względy. „Pomnę jedynie na dobro ojczyzny, dla któréj „wszystko dotąd poświęciłem; poświęcam i to, „co człowiek może mieć najdroższego na ziemi, „uczciwą dbałość o własną sławę.“

O dziwna wymowo cnoty! o słowa godne złotych głosek, godne pukłéj rzeźby na śpiżu i marmurach! mylę się... godne raczéj i przedewszystkiem być w sercach wszystkich, którzy chcą służyć sprawie publicznéj.

Doszliśmy ostatniéj i uroczystéj chwili służby naszego zacnego wodza. Nieprzyjaciel zbliżył się pod stolicę, przedstawiającą dwumilowy obwód do obrony, przy niedokładnych i niepokończonych obronnych dziełach, przy wojsku zmniejszoném o połowę niepowrotném oddaleniem; przy generałach niepodległych niejako u dołu od jego dowództwa, aż nadto zależnego i często krzyżowanego od góry. Zacny starzec więcéj rozkazywał prawością swoją naczelną. Drugi Pryam siwizną swoją zastawiał się o zagrożone mury Illionu. Przez dwa dni nieprzerwanie pod hukiem obustronnym dział ciężkich, mnożył swoją przytomność, swoją osobę, swoje męztwo, gdyby było podobną, jak płomień jaskrawiéj nieraz błyśnie przed skonaniem. — Tak orzeł, czy siedząc na stroméj i wysokiéj skale, czy szybując w przestworach, wszystko spółcześnie w około obejmie wzrokiem, a gdzie spojrzy, tam spada; rzekłbyś, że ostrze szponów zrosłe prawie z ostrzem źrenicy.

Ale są chwile, są miejsca, są okoliczności, w których i męstwo, i poświęcenie, i zdolności, (na jakie tylko człowiek w chwili najwyższego natężenia umysłu zdobyć się może), w których zwycięstwa same stają się próżnemi, i nic, nic więcéj nie przynoszą, okrom więcéj świetnego całunu. Upadła Wola, a z nią nie serce, ale życie Sowińskiego. O jak wódz nasz musiał takiéj śmierci zazdrościć! nie, nie, on już i nadto się wyniosł, wyrzekł się pożądania skonu w czasie swoim, największego daru z ziemskich, jaki Pan zastępów może zesłać hetmanom. Po utracie dział zewnętrznych, kiedy już przedmieścia gorzały od bomb oblężniczych, krwawe oświecając miasto, Małachowski nie rozpaczał jeszcze, on co raz na zawsze odprawił wątpienie, rzucając imię swoje i życie w otwartą otchłań losów ojczystych. Chciał się bronić w mieście, w każdéj ulicy, w domu każdym, chciał barykad nieużytych na śmiéch zwycięzcy nie zostawić, chciał lud do broni powołać. Ale on najstarszy nie mógł w młodszych przelać swego zapału, z których wielu przeciwnie ziębiło go zimnémi słowy, lodowatą twarzą. Mówię wielu, za wielu dodam, gdzie było trzeba zapału i gotowości wszystkich. Pilno im było skończyć! — nie przewidzieli, że nie tak rychło skończą się męczarnie narodu. Ufajmy, że był to tylko błąd umysłu. Wierzyli może szczerze w podobieństwo ciasnego i biedotliwego na powrót bytu. Nie zrozumieli, że dla nas nie ma wyboru, jedno między wielkiém życiem a niezmierném cierpieniem.

Wróćmy do naszego wodza. Przetrząśmy w dalszych środkach obrady, układami obcymi sobie, ale zawartymi w imię narodu przez wyższą od siebie władzę, która spółcześnie kazała pułkom opuszczać stanowiska; straszony odpowiedzialnością braną nad siły i moc prawną, ugodzony w serce błaganiem deputacyi miejskiéj, proszącéj o zachowanie tyle drogiéj stolicy od nieużytecznego zniszczenia — podpisał nareście fatalną kapitulacyą... To się zdarzyło najzacniejszym i najwaleczniejszym, zdarzyło Czarnieckiemu, zdarzyło się z wielką nawet korzyścią Poniatowskiemu, zdarzyło samemu Napoleonowi. Ale czy się wielu zdobyło, jak nasz wielebny starzec, na spowiedź publiczną w obec Boga i świata, narodu i potomności, prosząc o pokutę publiczną dobrowolnie! Zaledwie bowiem przybył do Modlina, na zgromadzonéj radzie wyłożywszy powody, którycheśmy dotknęli, dodał: „Jeżeli jednak sądzi„cie mnie winnym, pokażcie nieprzyjaciołom na„szym i całemu światu, że myśl sama podda„nia się nie powinna wstąpić do duszy naczel„nego Polaków wodza. Karzcie starca, a kaźń „moja i chłosta niech posłuży za przykład „wszystkim następcom.“

Małachowski przybywszy na wygnanie, nie jednę znosił krwawą obelgę od tych ludzi niefortunnych, którzy ślepym miotani gniewem na pierwszą lepszą uderzają ofiarę, którzy się sądzą wyższymi godząc wyżéj, odważniejszymi gdy gorzko a bezpiecznie, jak teraz, zuchwali...... Ale nasz starzec przyjmował wszystko bez skargi, jak gdyby sobie należne.

Osiadł nareście w Chantilly, koło Paryża, gdzie Wielki Kondeusz w starości swojéj wygodniejszych używał wczasów — w Chantilly, gdzie stały Polskie pułki, gdzie dotychczas nasi wygnańcy znajdują imiona swoje zapisane przed laty czterdziestu na drzewach i kamieniach, i tamże się gotował na ostatnią, najtrudniejszą dla wielu, niepowetowaną dla wielu przeprawę.

Mamże raz jeszcze, odsłaniając głęboko religijne wnętrze duszy naszego wodza, wyliczać szczegółowo te cnoty, któreśmy spotykali towarzysząc mu w każdym kroku życia? Tę bezinteresowność i zamiłowanie ubóstwa, które go skłoniły do odrzucenia, już na wygnaniu ofiarowanych mu od rządu Francuskiego wyższych nieco posiłków, jako jednemu z naczelnych; tak, iż ledwo na skromny pogrzeb zostawił. Tę skromność tak rzeczywistą, iż urywał słowo i wychodził z koła, w którém o nim z pochwałą chciano mówić? Sam o sobie nie mówił, chyba w chwilach zapomnienia a weselszéj myśli przed małżonką z bliższymi przyjacioły. — Zapytywany nieraz dla czego obok Polskiego, Francuskiego nie nosił krzyża; „nie noszę,“ odpowiadał, „bo nie mam; a nie mam, bo znać nie zasłużyłem.“ — On, który rozdał ich tyle. — Jakże nie chwalić gościnności, szczerości, pokory, które go zawsze chętniéj w niższém i poufalszém zatrzymywały gronie: — téj dobroci, bez któréj wszelka wielkość może dziwić, jak wszystko co nie zwykłe, ale serc nie ujmie, dusz nie pociągnie ku sobie, kochać się nie każe. Bez dobroci sława musi przebrzmieć samotnie, nie poznawszy czystéj przyjaźni, czystéj miłości, uczuć, które stanowią wewnętrzne i towarzyskie szczęście człowieka. Te wszystkie piękne cnoty splatały się w ozdobny a wdzięczny wieniec na srebrzystych włosach starego hetmana, i postawią go na przyszłość wyżéj w miłości i czułéj czci rodaków od wielu innych, skąd inąd może głośniejszych. Oby się rychło postrzegli ci, którym się zdaje, że patryotyzm może chodzić samopas, że jest podobnym, bez cnót prawdziwych, wewnętrznych, religijnych.

Małachowski dobiegał kresu życia, nie w skutku chorób niewygodnych, często córek własnych lub przodków nadużyć, ale porządkiem przyrodzonym, jak lampa gaśnie po wytrawieniu karmicielskiego płynu. Na czas zażądał kapłana, on, który tak często nawiedzał świątynie Pańskie, już opornéj nie folgując stopie, i tak chętnie mdlejące chylił kolano. Na czas kapłan Polski przybył. Rycerz przyjął go z radością. Sprawiedliwego nie straszy myśl śmierci... Do ostatniéj chwili zachował mu Bóg przytomność umysłu, zwykły dar nieba, za trzeźwe i cnotliwe życie. Opatrzony wszystkiémi Sakramentami kościoła, słuchając uważnie i pobożnie modlitw za konających, z końcem ich zasnął spokojnie, niepostrzeżony.

* * *

(Ułamek.)

(Dokończenie.)

Lecz o duchy! trzeba zbawcy —

Trzeba walczyć z tą zakałą,
I na innéj trzeba strunie
Zabrzmieć — zagrzmieć — mogił duchy!
Choć niewoli téż łańcuchy
Wyciągnione — wytężone
Nad ojczyzny krwawém ciałem.
Daléj zabrzmieć — nuż z zapałem,
Niech zaszumią inne tony —
Inne pieśnie — nie rozpaczy,
Brzmić i grzmić nam jeszcze mogą.
Precz więc jeszcze z smutną trwogą,
Trwoga — rozpacz to siepaczy —
Oj tak! trzeba Zbawiciela
I krzywd wszystkich téż mściciela —
Któż więc Zbawcą? — oj nim Bóg —
Wszystkich ludów jeden Pan,
Wszelkiéj złości wieczny wróg,
Sługom zdrady dobrze znan.
A zaś mściciel to jest lud,
Pokrzywdzony — pohańbiony —
Pogwałcony — bez obrony —
Nie zasłania go ni gród,
Ni żelazna śmierci broń,
Tylko cierpień wiele lat,
Krwią oblana, skłuta skroń,
I do czynu dzielna dłoń —
W świętość sprawy, ufna moc —
To wolności nowéj kwiat,
To podłości wieczna noc.
Z Bogiem lud,
Z ludem czyn,
A zabłyśnie wielki cud,
I zagładzim winę win.
Tańczcie duchy więc dokoła,
Ja to ruszam w czynu kraj —
Gdzie ojczyzna mnie zawoła —
W to mi śpiéwaj — w to mi graj.
Światów wyższych luby synu,
Ruszyć w taniec z ludem czynu.

Stanisław M....ski.

Wycieczka nad Wartę.

(Ciąg dalszy.)

Nie wiem, czyśmy wszyscy trzéj urodzili się pod jedną planetą, t. j. w wodniku — jak ja — ale jednakowa w nas chętka co do wody była; z ukontentowaniem pochwycili drudzy myśl, którąm im nazajutrz napomknął, pytając się, czyby nie można dostać na pół dnia, albo cały dzień choć rybackiéj łódki. „A co to sobie myślicie,“ zawołał Ignacy, „nie łódkę, ale łódź porządną na zawołanie; wy tam ode Wisły może zwyczajni jesteście owych flisowskich okręcików, co niby koryto z kubla wyglądają, a z jednego pnia się składają, który tam w boru wypalili, albo wyżłobili toporem? I wy Xawerku od Gniezna pewnie téż nie lepsze znacie, jak na waszych jeziorach krążą, t. j. przydługie skrzyneczki o dwóch przegrodach, a trzech schowaniach; w środku dla ryb, na końcach dla nóg rybackich. My tu na wyższym stopniu oświaty. Porządna tam na zagórzu stoi łódź, w któréj przynajmniéj stać prosto można jak Pan Bóg przykazał; bo dno nie jak kopanka, tylko z desek jak posadzka sporządzone i boki warowne, że ja na moje lata nie ryzykuję duszy i kozła nie przewrócę.“

Wypadało mi ująć się za honorem Wisły i Nadwiślan, i dowodziłem, że flisowskie koryta, jak tyraliery, jak gońce, jak strzały lecą pod wiosłem biegłego flisa, albo rotmana, że ich używanie jest dowodem wielkiéj wprawy i śmiałości majtków, i że nie tylko małe, ale i średnie i duże mamy łodzie i jadwigi, komięgi, dubasy, pramy, berlinki, i t. d., że zaś do połowu zwykle używamy czołen z desek, o długich wiosłach i wązkim przodzie; i że tak bywa na całéj dłużynie Wisły, aż do samego Gdańska, że całą Wartę Nadwiślanin uważałby za jakie Wiślisko tylko, nie za rzekę porządną.

Wyrazu Wiślisko nie rozumieli koledzy, trzeba im było powiedzieć, że tak u nas zowią starą odnogę Wisły, którą przerywając brzegi i torując bokiem nowe koryto, czasami Wisła na spozimku tworzy. Takie Wiślisko zwykle późniéj traci związek z Wisłą, piaski zalegają górne ujście, woda stanie, i dołem tylko z Wisłą jest w styczności, czasem i tam się cieśnina zawali mułem i piaskiem tak, iż tylko w czasie wezbrania wód, woda Wisły tam dochodzi. Zwykle bardzo rybne są Wiśliska. Z upływem lat wielu i one znikają; bujna roślinność na brzegach, zaspy liści wierzbowych, topolowych i innych, spadające z drzew i zwiane wiatrem, toną w tych wodach i zwolna podwyższają dno; Wiślisko coraz więcéj napełnia się piaskiem i mułem, zamienia się w miałkie błoto, i z czasem w urodzajną nizinę lub łąkę. Niektóre jednak topieliska, gdzie woda widać ogromnym wirem tocząc się, wymełła przepaść na kilkanaście sążni, od niepamiętnych lat istnieją do dziś dnia.

Trójka nasza prawiąc o takich osobliwościach kochanéj ojczystéj ziemi, wybrała się dosyć rychło z domu, i wysłuchawszy Mszą u Franciszkanów, i pokrzepiwszy się śniadaniem,

ruszyła po nad brzegiem Warty ścieżką wązką ku zagórzu. Słońce lubo jeszcze nie było wysoko na niebie, jednak piekło, ale wietrzyk od wody wiejący chłodził nas. Tuż pod miastem, gdzie brzegi prawie pionowo spadają ku rzece, tak, iż się zdaje, jakoby co tylko miał runąć stary zamek, później w więzienie zamieniony, dziś na skład zboża obrócony — tam dogodne sobie miejsce praczki obrały; tam gęsi, nierogacizna, tam i konie piją i pławią się. Daléj pod ogrodami i gęstą krzewiną, kilka chłopców ćwiczyło się w pływaniu. Za rzeką obszerne błonie i pastwiska, na które całe miejskie bydło w długich szeregach co dzień wyrusza, traktem zawsze jednym, t. j. koło celnika przy moście, nie opłacając jednak pogłównego; daléj przez most, potém w lewo na błonia. Idąc tedy ścieżką, już to przez rowy, już przez zdrojowiska, i po kamieniach skakać trzeba było. Ciągle przed nogami prąd Warty mając, która dziwnym szeptem spieszyła się do Pruskiéj granicy, czy uciekała z kongresówki; woda za wodą goniła, ścigała się, jedna przez drugą przewalając się i lekką pianę wyrzucając, jakoby kaczęta bielutkie, nurkujące. A słoneczne światło odbijało się to w tysiącznych plamkach, jakoby lustro rozpryśnięte na drobne kawałki; to znów w długich smugach, to w wązkich kreskach ciągle znikających, ciągle ponawiających się. Igrały z sobą w latowém cieple woda i światło, i rozbudzone owady, korzystając z pory, rojami pląsały nad wodą; to maczając skrzydełka, to susząc je w słońcu, jakoby wahając się pomiędzy dwoma żywiołami i nie wiedząc, w którym miléj zanurzyć się, czy w miękkich chłodzących wodach, czy w jasności niebieskiéj.

Doszliśmy do łodzi i wziąwszy wiosła od rybaka, daléj na wodę. Pan Ignacy ryb amator, wynurzył nam się z planem, dowodzącym stałych jego zasad w rzeczach gustu. Wyprawa miała być dosyć daleka, ale cel jéj chwalebny, pożądany, t. j. porcya wybornych szczupaków. „Jużci znowu krucyata na te wasze szczuplęta,“ ozwał się Xawery, „wiem naprzód, że tam rybak być musi, gdzie przybijem do brzegu.“

„Gdyby nie to,“ odpowiedział z uśmiechem pan Ignacy, „jużcibym się nie puścił tak daleko na stare lata moje, i jeszcze w taki upał. Sprawiedliwie wam się przyznaję, że mnie skrupuły przechodzą, gdy sobie rozważam odległość, jazdę, pracę, upał, siły i wodę, która, jak widać po pływających pianach, znacznie przybrała. Gdyby czas był, żałowałbym prawie, ale darmo.“

„No,“ rzeknę, „podjąłeś się, — ruchajże się, wedle przysłowia — ręczę, że pan Ignacy nie tylko jednę, ale dwie siatki z sobą dziś zabrał. Szkoda, że próżne — nie zawadziłoby przegryść na taką drogę, którą nas straszycie. Woda trawi. Gdybym był wiedział...“

„Dali Bóg ci, prawda,“ potakiwał Ignacy, „oj, zbłądziłem; ale wrócić, to niepodobno. — Daléj bracia do wioseł; kto z nas zręczny do tego; wy tam z nad Wisły, flisaku, teraz pokażcie sztukę.“

Ja też nie dając się prosić, z chęcią stanąłem na zadzie i stér okrętu objąłem. Była to łódź szeroka, do przewozu osób bezpieczna, wygodna, ale — nie do jazdy pod wodę. Z razu nie zmiarkowawszy, pięknie i gładko sterując na szerzawie i mieliznie, największe uczułem ukontentowanie. Lecz wnet się koryto zwężyło, z téj i z owéj strony występujące niby półwyspy wierzbami zarosłe, na kształt kępów na Wiśle, ścieśniały rzekę i znaczny prąd sprawując, utrudzały naszą jazdę.

Myślę sobie, że to jakiś przygórek, i że daléj znów wypłyniemy na szeroką wodę — ale nie tak się okazało. Z całéj siły wiosłując, jak koledzy, wkrótce do nitki spocony zacząłem się niecierpliwić. Prądy a prądy, głębina wciąż, a woda rwie, i brzegi krzakami obrosłe, że ani gdzie było oprzeć wiosła, tylko o wodę. Trzech nas w łodzi było, więc dosyć głęboko w wodzie szła, co drugie tyle siły wymagało. — „A niech was Pan Bóg ma w swojéj opiece — z waszą łodzią — to nie na taką jazdę — to się zamęczymy, jeżeli długo tego będzie. Czy tam nie widać jeszcze rybaka?“ — „Dopierośmy kilkanaście staj ujechali — widzicie zagórze przed sobą — ale też to rzeka kręto się wije jak wąż, — bodajnie się wracamy ku miastu?“ tak Xawery rozprawiał; na co pan Ignacy, ocierając pot z czoła: — „to być może, bo w prostéj linii byłoby do rybaka z dobre pół mili — a tak te krętaniny niepotrzebnie przedłużają. — O dla Boga! jakże mi gorąco — już rąk nie czuję — Xawerku nie ustawaj — wiosłuj — bo wstecz popłyniemy jak nieszczęsne raki.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: X. *Fr. Wawrowski.*)